

# Młody król

Oskar Wilde



calibre 0.9.27

# MŁODY KRÓL

Oskar Wilde

Była to noc przed koronacją i młody król siedział samotnie w swojej pięknej komnacie. Dworzanie odeszli, kłaniając się do ziemi zgodnie z przyjętym w takich razach obyczajem, i udali się do wielkiej sali, by wziąć kilka ostatnich lekcji od mistrza ceremonii, paru z nich bowiem miało jeszcze ruchy całkiem naturalne, co u dworzanina — o czym chyba nie potrzebuję mówić — jest bardzo poważnym wykroczeniem.

Chłopiec — bo był tylko chłopcem mając dopiero szesnaście lat — nie zmartwił się ich odejściem, lecz z głębokim westchnieniem ulgi rzucił się na miękkie poduszki swego haftowanego posłania. Leżał tam, ze spłoszonymi oczyma i otwartymi ustami, niczym brązowy leśny faun lub młode zwierzątko z puszczy, świeżo złapane w potrzask przez myśliwych. Bo istotnie myśliwi znaleźli go prawie przypadkiem, gdy bosy i z fujarką w ręku postępował za stadem kóz biednego pasterza, który go wychował i uważał za syna. Było to dziecko jedynej córki starego króla z małżeństwa zawartego potajemnie z kimś należącym do znacznie niższego stanu — jak mówiono, z cudzoziemcem, który dzięki cudownej, magicznej umiejętności gry na lutni zdobył serce młodej księżniczki; inni mówili o artyście z Rimini, któremu księżniczka okazywała wiele, może nawet zbyt wiele łaski i który nagle, pozostawiając swoje dzieło w katedrze nie skończone, zniknął z miasta. Dość, że dziecko, gdy liczyło sobie zaledwie tydzień, zostało porwane od matki w czasie snu i oddane pod opiekę prostych wieśniaków, którzy nie mieli własnych dzieci i żyli w zapadłej części lasu oddalonej od miasta o z górą dzień drogi. Smutek lub zaraza, jak stwierdził nadworny lekarz, lub może, jak poszeptowali inni, szybka w działaniu włoska trucizna podana w kielichu korzennego wina zabiła w godzinę po przebudzeniu białe dziewczętko, które dało mu życie. W tym samym czasie gdy zaufany posłaniec, który wiózł dziecko przed sobą na siodle, zsiadał ze zgrzanego konia i stukał do koślawych drzwi chatki pasterza — ciało księżniczki składano do otwartego grobu. Grób wykopano na zapomnianym cmentarzu kościelnym poza bramami miasta; jak mówiono, leżało w nim już inne ciało, ciało młodego człowieka wspaniałej egzotycznej piękności, którego ręce związane były z tyłu powrozem, a pierś pokłuta licznymi krwawymi ranami.

Taka przynajmniej była wieść, jaką szeptało z ucha do ucha; pewne jest to, że na łożu śmierci stary król — czy to wstrząśnięty wyrzutami sumienia za swój wielki grzech, czy po prostu pragnąc, aby królestwo zostało przy jego rodzie — kazał posłać po chłopca i w obecności Rady Przybocznej ogłosił go swoim dziedzicem.

Niemal od pierwszej chwili swego znalezienia młody król zdradzał oznaki jakiegoś dziwnego umiłowania piękna, które miało mieć tak wielki wpływ na całe jego życie. Ci, którzy mu towarzyszyli do przeznaczonych dla niego komnat, często wspominali okrzyk radości, jaki wydarł mu się z piersi na widok przygotowanych dla niego delikatnych szat i kosztownych klejnotów. Podobno z dziką niemal radością odrzucił szorstką skórzaną koszulę i nędzną owczą opończę. Chwilami brakowało mu oczywiście swobody leśnego życia i drażniły go nużące dworskie ceremonie, które zajmowały tyle czasu, lecz ten wspaniały pałac — „Radość”, jak go nazywano — którego był panem, zdawał się być jakimś nowym światem, dopiero co stworzonym specjalnie dla jego przyjemności. Jak tylko mógł się wyrwać z sali obrad lub z sali przyjęć, zaraz zbiegał po ogromnych schodach z kolorowego porfiru strzeżonych przez lwy ze złoczonego brązu i błąkał się wśród komnat i korytarzy, jak ktoś, kto spodziewa się znaleźć w pięknie złagodzenie bólu i wybawienie od nudy.

W tych odkrywczych podróżach, jak zwykł je nazywać — bo rzeczywiście były to wspaniałe podróże przez zadziwiające lądy — towarzyszyli mu czasami jasnowłosi dworzacy paziowie w luźnych płaszczach i turkoczących wstążkach. Lecz częściej błąkał się sam przeczuwając wyostrzonym instynktem, co było prawie jasnowidzeniem, że tajemnic sztuki najlepiej uczyć się w skrytości i że piękno, podobnie jak mądrość, kocha samotnych wielbicieli.

Krążyło o nim wiele ciekawych historii z owego czasu. Mówiono, że tłusty burmistrz, który przybył, aby wygłosić kwiecistą, wiernopoddańczą orację w imieniu mieszkańców miasta, ujrzał go klęczącego w prawdziwym uwielbieniu przed wielkim obrazem sprowadzonym z Wenecji; wydawało się, że oddaje cześć jakimś nowym bogom. Innym razem zniknął na kilka godzin i po długich poszukiwaniach znaleziono go w małej komnacie na jednej z północnych wieżyczek pałacu, patrzącego w zachwyceniu na grecką kameę wyobrażającą Adonisa. Widziano go — jak wieść niesie — przyciskającego swe gorące wargi do marmurowego ciała starożytnego posągu, który znaleziono w łóżysku rzeki przy budowie kamiennego mostu; na posągu wyryte było imię niewolnika z Bityny należącego do Hadriana. Innym znów razem spędził całą noc przyglądając się grze światła księżycowego na srebrnym wizerunku Endymiona.

Fascynowały go wszelkie rzadkie i cenne rzeczy i chcąc je posiadać wysyłał w świat licznych kupców: jednych po zakup bursztynu od barbarzyńskich rybaków z północnych mórz, drugich do Egiptu na poszukiwania przedziwnego zielonego turkusy, który można znaleźć tylko w grobowcach królów i który podobno posiada własności magiczne; innych jeszcze do Persji po jedwabiste kobierce i malowane naczynia gliniane, a jeszcze innych — do Indii po gazę, upstrzone plamami o barwie kości słoniowej kamienie księżycowe, bransolety z jaspisu, drzewo sandałowe, niebieską emalię i chusty z kosztownej wełny.

Lecz najbardziej zajmowała go szata, którą miał włożyć na koronację, szata przetykana złotem, korona wysadzana rubinami i berło lśniące rzędami pereł. Tak, o tym myślał dzisiejszej nocy leżąc na przepysznym łożu i patrząc na pień sosnowy dopalający się na otwartym palenisku. Wiele miesięcy temu przedłożono mu projekty największych artystów jego czasów i rozkazano rzemieślnikom, żeby dniem i nocą pracowali nad ich wykonaniem, a cały świat miał poszukiwać klejnotów godnych tego dzieła. Widział siebie oczyma wyobraźni, stojącego przy wysokim ołtarzu katedralnym w jasnych szatach królewskich, a uśmiech błąkał się i igrał na jego chłopięcych wargach i zapalał żywym blaskiem jego ciemne płochliwe oczy.

Po pewnym czasie wstał i opierając się o rzeźbione obramowanie kominka rozejrzał się po nikle oświetlonej komnacie. Ściany pokryte były obiciem przedstawiającym, triumf piękna. Wielka komoda inkrustowana agatem i lapis lazuli wypełniała jeden róg, naprzeciwko okna stała gablota kunsztownej roboty, lakierowana i pokryta mozaiką ze złota, na której ustawiono kilka delikatnych czarek z weneckiego szkła oraz filiżankę z żyłkowanego ciemnego onyksu. Zdawało się, że blade matki na jedwabnej kapie łożka wysunęły się ze zmęczonych rąk snu. Smukłe trzciny inkrustowane kością słoniową podtrzymywały aksamitny baldachim, z którego, niczym biała piana, strzelały kity strusich piór ku bladobłękitnemu rzeźbionemu sufitowi. Roześmiany Narcyz z zielonkawego spiżu trzymał nad głową polerowane zwierciadło. Na stole stała niska waza z ametystu.

W oddali widniała ogromna kopuła katedry zawieszona niczym bańka mydlana nad majaczącymi domami, a znużeni strażnicy przechadzali się tam i na powrót po zamglonych tarasach nad rzeką. Gdzieś daleko w sadzie śpiewał słowik. Delikatna woń jaśminu płynęła z otwartego okna. Młody król odgarnął brązowe loki z czoła, ujął lutnię i palcami przesunął po strunach. Ciężkie powieki opadły mu na oczy. i ogarnęło go dziwne znużenie. Nigdy dotąd nie odczuwał tak żywo i z tak dojmującą radością czaru i tajemnicy zawartej w rzeczach pięknych. Gdy zegar na wieży wybił

północ, pociągnął za dzwonek, weszli paziowie i rozebrali go z wielką ceremonią, skrapiając mu ręce wodą różaną i strojąc kwiatami poduszkę. W kilka chwil po ich odejściu zapadł w sen.

Gdy spał, śnił mu się sen, a sen ten był taki: Zdawało mu się, że stoi na długim wąskim poddaszu. wśród klekotu i huku wielu warsztatów tkackich. Wątle światło dzienne przezierało przez zakratowane okna ukazując cherlawe postaci tkaczy pochylonych; nad osnową. Mizerne, chorowite dzieci czołgały się na potężnych belkach podłogi. Gdy czółenka przebiegały przez osnowę, tkacze podnosili ciężkie płochy, a gdy czółenka zatrzymywały się, spuszczały płochy na dół i w ten sposób schodziły się ciasniej nitki tkaniny. Twarze ich naznaczone były głodem, a ręce dygotały i drżały. Kilka wynędzniałych kobiet siedziało przy stole szyjąc. Okropny odór unosił się w izbie. Powietrze było ciężkie i smrodliwe, a na ścianach widniały zacieki wilgoci.

Młody król podszedł do jednego z tkaczy, stanął za nim i obserwował go.

Lecz tkacz spojrzawszy nań gniewnie i spytał:

— Dlaczego na mnie patrzysz? Czy jesteś szpiegiem nasłanym przez naszego pana?

— Któż jest waszym panem? — spytał młody król.

— Nasz pan?! — wykrzyknął tkacz z goryczą. — Jest takim samym człowiekiem jak ja! Zaiste, istnieje tylko jedyna różnica między nami, ta, że on nosi piękne szaty, a ja chodzę w łachmanach, że ja słabnę z głodu, a jemu obżarstwo niemało daje się we znaki.

— Kraj jest wolny — powiedział młody król — i nie jesteś niczym niewolnikiem.

— W czasie wojny słaby jest niewolnikiem silnego, a w czasie pokoju — bogaty bierze w niewolę biedaka. Musimy pracować, żeby żyć, lecz oni płacą nam tak nędźnie, że mrzemy. Harujemy na nich jak dzień długi, a oni gromadzą złoto w kufrach, podczas gdy nasze dzieci więdną przed czasem, a twarze tych, których kochamy, stają się twarde i złe. My wyciskamy sok z winorośli, lecz inni spijają wino. My siejemy zboże, lecz nasze spichrze są puste. Nosimy łańcuchy, chociaż ich nie widać; jesteśmy niewolnikami, chociaż mówią, że jesteśmy wolni.

— I tak dzieje się ze wszystkimi? — spytał młody król.

— Ze wszystkimi — odpowiedział tkacz. — Tak samo z młodymi jak ze starymi, z kobietami i z mężczyznami, z małymi dziećmi i z posuniętymi w latach. Kupcy uciskają nas, lecz musimy być im posłuszni. Ksiądz jeździ i klepie pacierze, ale nikt nie dba o nas. Przez nasze jałowe ugory pełza Bieda o wygłodniałych oczach, a Grzech z kretyńską gębą postępuje tuż za nią. Nędza budzi nas z rana, a Wstyd przesiaduje z nami w nocy. Lecz co znaczą te sprawy dla ciebie? Nie jesteś jednym z nas. Masz twarz zbyt szczęśliwą. — Odwrócił się ze złością i przerzucił czółenka, a młody król zobaczył, że nitki tkaniny są ze złota.

I ogarnął go wielki strach i spytał tkacza:

— Co to za szata, którą tkasz?

— To jest szata na koronację młodego króla — odpowiedział tkacz. — Co ci do tego?

A młody król wydał okrzyk grozy i obudził się, i ach! był w swojej własnej komnacie, a przez okno przezierał ogromny księżyc o kolorze miodu zawieszony na zamglonym niebie.

Znów zapadł w sen i śnił, a sen ten był taki: Śniło mu się, że leży na pokładzie wielkiej galery poruszanej wiosłami przez stu niewolników. Przy nim, na kobiercu, siedział właściciel statku. Był czarny jak heban, a turban miał z purpurowego jedwabiu. Ogromne srebrne kolczyki zwisały mu z tłustych uszu, a w rękach trzymał dwie szalki z kości słoniowej.

Niewolnicy mieli tylko obszarpane przepaski na biodrach i skuci byli łańcuchami po dwóch. Żar słoneczny palił ich niemiłosiernie, a Murzyni biegali tam i' na powrót środkiem galery okładając ich rzemiennymi powrozami. Niewolnicy wyciągali chude ramiona i zanurzali ciężkie wiosła w wodzie. Słona piana bryzgała z piór wiosła.



Wreszcie dotarli do małej zatoki i zaczęli sondować wodę. Od brzegu dął lekki wiatr i zasypywał pokład i główny żagiel ostrym czerwonym pyłem. Od lądu wynurzyli się trzej Arabowie na dzikich osłach i poczęli godzić w załogę galer oszczepami. Właściciel statku napiął malowany łuk i przeszył gardło jednemu z napastników, który spadł ciężko w nadbrzeżne fale, a jego towarzysze pokłusowali z powrotem. Kobieta w żółtym kwefie wolno podążała za nim na wielbłądzie, oglądając się od czasu do czasu i spoglądając na martwe ciało.

Gdy tylko zarzucili kotwicę i spuścili żagiel, Murzyni przynieśli spod pokładu długą drabinę sznurową, obciążoną ołowiem. Właściciel galery, umocowawszy ją najpierw do dwóch żelaznych haków, przerzucił ją przez burtę. Wówczas Murzyni schwycili najmłodszego z niewolników, zerwali krępujące go więzy, zatkali mu nozdrza i uszy woskiem i uwiązali mu wielki kamień u pasa. Pełzał mozolnie po drabinie w dół, aż znikł w wodzie. W miejscu gdzie się zanurzył, ukazały się na wodzie pęcherzyki. Kilku z niewolników wpatrywało się w to miejsce z zaciekawieniem. Na dziobie zasiadł zaklinacz ryb bijąc monotennie w bęben.

Po pewnym czasie nurek wyłonił się z wody i ciężko dysząc przywarł do drabiny. Na prawej jego ręce spoczywała perła. Murzyni pochwycili perłę i rzucili go do wody z powrotem. Niewolnicy posnęli nad wiosłami.

Nurek wyłaniał się raz po raz, a za każdym razem przynosił piękną perłę. Właściciel galery ważył je i kładł do małej torebki z zielonej skóry.

Młody król próbował mówić, lecz wydawało się, że język przysechł mu do podniebienia, a wargi nie chciały się poruszać. Murzyni gawędzili z sobą i nawet zaczęli wieść spór o sznur kolorowych paciorków. Klucze żurawi zataczały kręgi nad statkiem.

Nurek wynurzył się po raz ostatni; perła, którą przyniósł, była piękniejsza od wszystkich pereł Ormuza, gdyż miała kształt księżycy w pełni i była bielsza niż jutrzeńka. Lecz twarz nurka była przedziwnie blada i gdy padł na pokład, krew rzuciła mu się uszami i nosem. Drgał jeszcze, lecz po chwili zeszywniał. Murzyni wzruszyli ramionami i wyrzucili ciało za burtę.

Właściciel zaśmiał się i wyciągnawszy rękę wziął perłę, a gdy ją ujrzał, przycisnął ją do skroni i pokłonił się.

— Ta będzie do berła młodego króla — powiedział i dał znak Murzynom, by podnieśli kotwicę.

A gdy to młody król usłyszał, wydał okrzyk grozy i obudził się, i dojrzał przez okno, jak długie szare palce świtu przywierają do gasnących gwiazd.

Znów zasnął i śnił, a sen ten był taki: Zdawało mu się, że błąka się w ciemnym lesie, gdzie na drzewach wisały dziwne owoce i gdzie rosły piękne trujące kwiaty. Żmije syczały na niego, gdy przechodził, a pstre papugi przelatywały z piskiem z gałęzi na gałąź. Olbrzymie żółwie leżały uśpione w gorącym błocie. Na drzewach pełno było małp i pawi. Szedł dalej i dalej, aż doszedł do skraju lasu. Ujrzał tam wielki tłum ludzi pracujących w łożysku wyschniętej rzeki. Roili się na urwisku jak mrówki., Wykopali w ziemi głębokie doły i weszli do nich. Jedni szczerbili skały wielkimi kilofami, inni grzebali się w piasku. Wyrywali z korzeniami kaktusy i trato wali kwiecie. Spieszyli się nawołując jedni drugich — nikt się nie lenił. Śmierć i Chciwość patrzyły na nich z ciemnej jaskini. Śmierć rzekła: — Jestem zmęczona; daj mi trzecią część tego tłumu i pozwól mi odejść.

Lecz Chciwość potrząsnęła głową.

— To moi słudzy — odparła.

Śmierć spytała:

— Co masz w ręku?

— Trzy ziarenka żyta. Co ci do tego?

— Daj mi jedno — zawołała Śmierć — a zasadzę je w moim ogrodzie. Tylko jedno, a odejdę stąd!

— Nie dam ci nic — powiedziała Chciwość i ukryła rękę w fałdach odzienia.

Śmierć zaśmiała się, wzięła kielich i zatopiła go w sadzawce; z kielicha podniosła się Febra. Przechadzała się wśród tłumu i co trzeci człowiek padał martwy. Towarzyszyły jej zimne opary, a wodne węże pełzały u jej boku.

A gdy Chciwość ujrzała, że co trzeci z tłumu pada martwy, uderzyła się w pierś i zapłakała. Uderzyła się w swoją suchą pierś i krzyknęła głośno:

— Zabiłaś trzecią część moich sług. Odejdź! Jest wojna w górach Tartaru i królowie po obu stronach wzywają ciebie. Afganowie zabili czarnego wołu i ruszają w bój. Uderzyli o tarcze włóczniami i włożyli hełmy z żelaza. Czymże jest dla ciebie moja dolina, że się tu zatrzymujesz?! Odejdź i nie wracaj więcej!

— Nie — odrzekła Śmierć. — Dopóki nie dasz mi ziarnka żyta, nie odejdę.

Lecz Chciwość zamknęła dłoń i zacisnęła zęby.

— Nie dam ci nic — mruknęła.

Śmierć zaśmiała się, podniosła czarny kamień i rzuciła go w las, a z gąszcza dzikiej cykuty wyszła Go rączka w szacie z płomienia. Przechadzała się wśród tłumu i dotykała ludzi, a każdy człowiek, którego dotknęła, umierał. Którędy przeszła, trawa schła pod jej stopami. Chciwość wstrząsnęła się i posypała głowę popiołem.

— Jesteś okrutna! — krzyknęła. — Jesteś okrutna! W warownych miastach Indii panuje głód i woda wyschła w zbiornikach Samarkandy. W warownych miastach Egiptu panuje głód, a z pustyni nadciąga szarańcza. Nil nie wystąpił z brzegów i kapłani przeklęli Izydę i Ozyrysa. Odejdź do tych, którzy cię potrzebują, a zostaw mnie z moimi sługami.

— Nie — odpowiedziała Śmierć — dopóki nie dasz mi ziarnka żyta, nie pójdę.

— Nie dam ci nic — odrzekła Chciwość.

Śmierć zaśmiała się, gwizdnęła przez palce, a z powietrza nadleciała postać kobiety. „Zaraza” — było napisane na jej czole, a stado zgłodniałych sępów wirowało nad jej głową. Roztoczyła nad doliną swe skrzydła i nikt nie uszedł śmierci.

Chciwość z krzykiem uciekła do lasu, a Śmierć dosiadła swego krwawego rumaka i popędziła w dal. a pęd ten był szybszy niż wiatr.

Z szlamu doliny wypełzły smoki i ohydne potwory pokryte łuską, a szakale przebiegały piaski wietrząc nozdrzami powietrze.

Młody król zapłakał i spytał:

— Co to byli za ludzie i czego tu szukali?

— Rubinów do korony króla — odpowiedział ktoś, kto stał za nim.

Młody król drgnął i obróciwszy się ujrzał człowieka w szacie pielgrzymiej trzymającego w ręku srebrne zwierciadło.

Poblądł gwałtownie i spytał:

— Dla jakiego króla?

— Spójrz w zwierciadło, a ujrzysz go — odpowiedział pielgrzym.

I spojrzawszy w zwierciadło, a widząc swoją własną twarz wydał krzyk grozy i obudził się; promienne światło słoneczne zalało pokój, a z ogrodów przypląnął śpiew ptaków.

Przybyli kanclerz i najwyżsi dostojnicy państwa, by złożyć mu hołd, paziowie przynieśli szatę tkaną złotem, a koronę i berło złożyli przed nim.

Młody król spojrzawszy na jedno i drugie i spostrzegł, że są niezwykle piękne. Piękniejsze niż

wszystko, co widział dotychczas. Lecz pomny na swoje sny powiedział do wielmożów:

— Zabierzcie to precz, nie włożę tego. Dworzanie osłupieli, a kilku z nich poczęło się śmiać myśląc, że żartuje.

Lecz on powtórzył poważnie:

— Zabierzcie to precz: niech tego więcej nie widzę. Chociaż to dzień mojej koronacji, nie włożę tej szaty, bo utkały ją białe ręce Bólu na warsztacie Smutku. A w tym rubinie jest krew, tak jak w sercu perły jest Śmierć.

I opowiedział im swoje trzy sny. A wysłuchawszy ich dworzanie spojrzeli po sobie i poczęli szeptać:

— Zaiste, jest szalony. Bo czymże jest sen, jak tylko snem, a widzenie — tylko widzeniem? Należy się troszczyć tylko o rzeczywistość. Cóż nam do życia tych, którzy dla nas pracują? Czyż, żeby jeść chleb, musi człek wprzód oglądać siewcę lub, żeby pić wino, trzebaż li wprzód rozmawiać z winogradnikiem?

I kanclerz ozwał się tymi słowy do młodego króla:

— Panie mój, błagam, odpędź od siebie te czarne myśli i przywdziej tę piękną szatę, a koronę włoż na głowę. Bo po czymże ludzie poznają, żeś królem, skoro nie będziesz miał na sobie królewskiego stroju? Młody król spojrział na niego.

— Czyż tak jest istotnie? — zapytał. — Nie poznają, żeś królem, gdy nie włożę królewskiego stroju?

— Nie poznają, mój panie! — wykrzyknął kanclerz.

— Myślałem, że bywali ludzie królewskiego oblicza — powiedział — lecz być może, jest tak, jak mówisz. A jednak nie włożę tej szaty ani tej korony, lecz wyjdę z pałacu tak, jak do niego przybyłem.

I rozkazał wszystkim się oddalić, prócz jednego pazia, którego miał do towarzystwa, chłopca młodszego od siebie o rok. Zatrzymał go, by mu usługiwał przy ubieraniu. Najpierw wykąpał się w zwykłej wodzie, po czym otworzył wielką malowaną skrzynię, wyjął stamtąd skórzaną koszulę i szorstką owczą opończę, które nosił pasąc na zboczach wzgórz kudłate barany pasterza. Włożył to na siebie; a w rękę ujął chropawy pasterski kij.

Mały paź otworzył swe wielkie niebieskie oczy ze zdziwienia i uśmiechając się powiedział:

— Panie mój, widzę szatę i berło, lecz gdzież korona? A młody król urwał gałąź głogu pnącą się na balkonie, zgiął ją w kształcie wieńca i włożył na głowę.

— To będzie moja korona — powiedział; tak ubrany udał się do wielkiej sali, gdzie oczekiwali nań wielmoże.

Poczęli zeń szydzić, a kilku z nich wykrzyknęło:

— Władco, lud czeka na króla, a zobaczy żebraka. Inni sarkali w złości:

— Okrywa wstydem nasz stan, nie godzien jest być naszym panem!

Nie odrzekł im ani słowa, lecz przeszedłszy mimo udał się na dół po kolorowych schodach z porfiru, wyszedł bramą z brązu, dosiadł konia i ruszył w stronę katedry, a mały paź biegł u jego boku. A ludzie śmiali się i drwili:

— Czy to jedzie błazen królewski? Lecz on ściągnął uzdę i rzekł:

— Nie, to ja jestem królem — i opowiedział im swoje trzy sny.

A z tłumu wystąpił człowiek i ozwał się z goryczą:

— Czyż nie wiesz, panie, że ze zbytków bogacza żyje biedak? Żywimy się waszym przepychem, a wasze występki dają nam chleb. Gorzko jest pracować dla pana, lecz bardziej gorzki jest brak pana, który daje pracę. Czyż myślisz, że kruki będą nas karmić? Jak możesz nam pomóc? Czyż powiesz

kupującemu: „Masz płacić tyle”, a sprzedającemu: „Masz sprzedawać za *tyle*”? Na pewno nie! Więc wróć do swojego pałacu i przyodziej się w purpurę i delikatną bieliznę. Cóż ci do nas i naszych cierpień?

— Czyż bogaci i biedni nie są braćmi? — spytał młody król.

— A jakże — odpowiedział człowiek — a imię bogatego brata: Kain.

Oczy młodego króla napęłniły się łzami, gdy tak jechał wśród szemrania tłumu, a mały paź, zdjęty trwogą uciekł i opuścił go.

A gdy wreszcie dojechał do wrót katedry, żołnierze zagrodzili mu drogę halabardami i krzyknęli:

— Czego tu szukasz?! Tylko król może wejść tymi drzwiami.

Twarz jego zapłonęła gniewem i powiedział:

— Ja jestem królem. — Odsunął halabardy i wszedł do środka.

A gdy stary biskup ujrzał go wchodzącego w stroju pasterza, powstał z zadziwienia ze swego tronu i wyszedł mu naprzeciw, i rzekł:

— Synu mój, czyż to jest strój królewski? Jakąż koroną cię ukoronuję i jakie berło włożę do twej ręki? Zaiste, dzień ten winien być dla ciebie dniem radości, a nie poniżenia.

— Czyż radość ma się stroić w to, co stworzyła zgryzota? — spytał młody król i opowiedział mu swoje trzy sny.

A gdy ich biskup wysłuchał, zmarszczył brwi i rzekł:

— Synu mój, jestem starym człowiekiem u schyłku swych dni i wiem, że wiele zła dzieje się na szerokim świecie. Dzicy rozbójnicy schodzą z gór, by porwać dzieci i sprzedawać je Maurom. Zaczajone lwy czyhają na karawany, by rzucić się na wielbłądy. Dzik ryje w ziemi, by wyrwać korzenie zbóż w dolinie, a lisy łamią winorośl na wzgórzu. Piraci grasują wzdłuż wybrzeża, palą kutry rybaków i zabierają im sieci. Wśród słonych bagnisk żyją trędowaci w chatkach z wyplatanej trzciny i nikt nie może się do nich zbliżyć. Żebracy wałęsają się po miastach żywiąc się razem z psami. Czyż możesz się temu przeciwstawić? Czyż weźmiesz trędowatego do swego łóżka, a żebraka do swego stołu? Czyż lew będzie ci posłuszny lub czyż dzik wykona twój rozkaz? Czyż ten, który dopuścił do nędzy, nie jest mędrszy od ciebie? Przeto nie chwalebę twego postępu, lecz nakazuję: wróć do pałacu, rozwesel twarz, włoż szaty, jakie przystoją królowi, a ukoronuję cię złotą koroną, i do twej ręki włożę berło wysadzone perłami. A o swych snach nie myśl więcej. Brzemie tego świata jest zbyt ciężkie na barki jednego człowieka, a smutki jego zbyt wielkie, by jedno serce mogło im poddać.

— Mówisz to w tym miejscu? — spytał młody król. Przeszedł obok biskupa i wstąpiwszy na stopnie ołtarza stanął przed wizerunkiem Chrystusa.

Stanął przed wizerunkiem Chrystusa, a po jego prawej i lewej ręce znajdowały się wspaniałe złote naczynia: kielich z złotawym winem i ampułka z świętymi olejami. Ukląkł przed wizerunkiem Chrystusa, a wielkie świece płonęły rześście przy zdobnym w klejnoty ołtarzu i dymy kadzidlane pięły się w cienkich błękitnawych smużkach ku kopule. Pochylił się w modlitwie, a kapłani w swych sztywnych kapłach odsunęli się od ołtarza.

Nagle od ulicy wszczął się wielki tumult, a do katedry wtargnęli wielmoże z obnażonymi mieczami, powiewającymi pióropuszcami i w zbrojach z błyszczącej stali.

— Gdzie jest ten marzyciel, co mu się śniły sny?! — wołali. — Gdzież jest król w łachmanach żebraka?! Ten młokos, co przyniósł wstyd naszemu stanowi! Zaiste, zgładzimy go, bo nie godzien jest rządzić nami!

Młody król pochylił się znowu w modlitwie, a gdy skończył, podniósł się i obróciwszy głowę spojrzął na nich ze smutkiem.



I o dziwo! — przez malowane okna padły na niego strumienie światła, a promienie słońca utkały na nim złocistą szatę, bardziej promienną niż szata, którą zrobiono dla jego przyjemności. Obumarły kij zakwitł liliami bielszymi nad perły, a suchy cierń — różami czerwieńszymi nad rubin. Lilie były bielsze niż cudne perły, a łodygi miały ze szczerzego srebra, róże były czerwieńsze niż rubiny, a listki miały szczerozłote.

I stał tak w odzieniu króla, aż drzwiczki zdobnego w klejnoty ołtarza otworzyły się, a z promienistej monstrancji spłynęło cudowne, mistyczne światło. I stał tak w królewskich szatach, aż chwała boża wypełniła przybytek, a święci stojący w rzeźbionych niszach zdawali się poruszać. Stał przed nimi w jasnych szatach królewskich, i organy zagrały, trębacze zadęli w trąby, a chóry chłopięce poczęły śpiewać.

Lud upadł na kolana, zdjęty trwogą, rycerze schowali miecze i złożyli królowi hołd, a twarz biskupa pobladła i ręce mu zadrżały.

— Większy ode mnie ukoronował cię! — zawołał i ukląkł przed nim.

A młody król zstąpił ze schodów głównego ołtarza i szedł środkiem tłumu, lecz nikt nie odważył się spojrzeć mu w twarz, bo była to jakby twarz anioła.

Przygotowano na podstawie bookini.pl